

XVIII POWIATOWY KONKURS ORTOGRAFICZNY SZKOŁY PONADGIMNAZJALNE

Hołubienie polszczyzny, czyli językowe qui pro quo

— Poharatana wszakoż ta nasza ojczysta mowa! – tak zażywny jegomość, siedzący vis-a-vis mnie w dalekobieżnym pociągu zwanym pendolino, rozpętał arcycspór o współczesną polszczyznę.

W tym czasie dissowałem półgłosem piosenkę Pei, a że używałem szerniałego ze starości pendrive'a i nie najnowszego laptopa, musiałem to robić po raz n-ty. Zapewne dlatego mój sąsiad, ten w oldskulowych butach, taki pół-Polak, ale i półarystokrata, ni z tego, ni z owego wykrzyczał, że nowo powstałe oraz nowomodne wyrazy, których jest bez liku i co niemiara, np. chillout, sorewicz czy memiarz, muszą bezpowrotnie zniknąć. Nieśmiało zauważyłem, że jest nie najgorzej, skoro „kruci” i „bajdurzyć” wypierają ohydne i nadużywane wulgaryzmy.

Pani z fryzurą a la Marilyn Monroe tonem nieznoszącym sprzeciwu pochwaliła Klocucha, rzekomego króla polskiego YouTube'a, za karczowanie zachwaszczonej językowej gleby i za jej użyźnianie, ale zrugła za słowo „dzban”. Jak na razie, układając chryzantemy lub też chabry w dzbanach, czuje się nieswojo. Poza tym, gdy musiała przebukować bilety, przeżyła istne katusze, bo przecież bukowanie to charczenie łośia na rykowisku. Usłyszawszy, że jestem didżejem, orzekła, że brzmi to jak dżokej i należałoby użyć „prezenter muzyczny” i niechżeżbym tak czynił.

Nie znalazłszy stosownych kontrargumentów, wygłosiłem naprędce skleconą supersentencję o tym, że skoro wszystko się zmienia, dlaczegoż nie miałby i nasz język. Współpasażerowie przytaknąwszy, pogrążyli się w ożywczej drzemce.